

Spojrzeni w pustynię A tam, w oddali zamigotały punkciki: Jeden, drugi, trzeci, dziesiąty... Rosły i zbliżały się szybko.

Przysłoniwszy oczy ręką, można było rozpoznać konie i ludzi. A w rozedrganem powietrzu migotała w oddali broń.

Nie było żadnej wątpliwości.

To pogoń, za niemi!...

Niebezpieczeństwo z dwu stron:

Z jednej — ich prześladowcy, z drugiej śmiertelna pustynia...

Nie dadzą rady! Ich tylko trzech!

Stokroć lepsza śmierć w pustyni, niż z rąk cesarskich oprawców!

W mig wielbłądom narzucono siodła i pomknęto w coraz bardziej mroczną pustkę, gdzie piaskiem w oczy miotał wrogi, roz-wścieczony, żywioł.....

Tamci dojrzeni ich. Przyspieszyli biegu. Poszczególne postacie na łbach końskich pochylone poczęły przybliżać się ku nim. Poznali!

Huzarzy węgierscy, tureccy żandarmi i Beduini w upiornych, długich płaszczach, wywijając strzelbami nad głową i krzykiem po-pędzając na wół dzikie bachmaty.

Wśród najpierwszych — szary mundur austriacki. Wysuwa się na czoło coraz bardziej.

I jedni i drudzy mknęli, jak wichur.

Ale ten na przedzie, dogania ich już!

Jurek odwrócił głowę i zbladł... Poznał swego kata-feldfebla. Posłyszał jego tubalny głos za sobą.

— A ty ścierwo polskie! To ja przez ciebie pod sąd mam iść? Ale przysiągłem, że cię żywcem dostanę, sobako!

Nagle „Cwał“ zawrócił, objechał kołem i dostał się między sierżanta a resztę goniącego ich oddziału.

Jurek i Tom przystanęli, nie wiedząc, co ich towarzyszy zamierza?

Zołdak zbliżył się do nich na odległość kilkunastu koni.

Za nim kołyszac się podjeżdżał dromedar.

Nim austriak miał czas odwrócić się, „Cwał“ stojąc w strzemi-nach wypalił mu prosto w twarz ze starej, arabskiej swej flinty.

Następnie, usuwając się na zie-mię, krzyknął im:

— Uciekać! Ja zostać! Ja już pokazać, jak arab strzela!...

Hukiem spłoszone wielbłądy po-mknęły w dal.

A w tejże chwili zrobiło się cał-kiem ciemno. To wściekły Samum pustyni cisnął całą górę piasku huczac i wyjąc potępięnczo.

Jurek i Tom, twarz przyciskając do szyi swych zwierząt, lecieli przed siebie, nie widząc już nic...

A nad nimi, przed nimi i wokoło nich, szalał orkan Arabii, dmąc i niszcząc wszystko wokół siebie żarem śmiertelnośnym swego od-dechu.

Wył i piaskiem pluł, jeżąc lu-dziom bezbronnym włos w straszli-wym lęku, wiatr pustynny, wiatr mocarny — Samum — Samum!

W dalekim zaś Damaszku w prze-pysznym, wschodnim Pałacu, za-mienionym obecnie na „Kaiserlich deutsches Feldpostamt“, chude, kościste palce Prusaka trzymały szarą kopertę, sylabizując z trud-nością adres: Georg Mokiki... K. u. k. Infanterieregiment Nr., Kompanie ... Feldpost ... , Orient ... A na dole: Absender: Wanda Mokika Neu-Sandec.

Był to znów jeden z tych listów, który go nie doszedł, pisany łzami nie-utulonej tęsknicy...

... Dziecko moje najdroższe!

Co z tobą? Na miłosierdzie Boskie!? Umieram z niepokoju. Codzień biegam na pocztę. Nic i nic ciągle.

Już dwa miesiące mija, jakeś mnie zostawił bez jednego słowa. Ty nie jesteś, ty nie możesz być tak bez serca! Obiecałeś, przyrzekłeś na pamięć ojca

twego pisać do mnie! Jesteś lekkomyślny, młody ale dobre masz serduszko, nie zapomniałeś chyba o starej swej Matce? A możesz ty chory, może, Boże broń! — ranny? A ja nic o tem nie wiem! Nic pomóc ci nie mogę. Biegłabym tam do ciebie dniami i nocami, ale nie wiem nawet gdzie cię szukać mam myślą mą strwożoną? Napisałeś: Jedziemy do Azji! Ale ta Azja taka wielka, taka odległa, taka nieznana i pełna niebezpieczeństw!

Synku mój! Od paru dni niezdrowa jestem, coś z sercem nie-domagam, nie daję się, bo ciągle ufam, iż Wszechmogący powróci mi cię znowu!

U nas życie płynie zwyczajnym torem. Tylko coraz ciężej i coraz drożej. Brak wszystkiego, przednówek! O każdy funt kaszy prosić się trzeba, jak o łaskę! Pełno obcych i ci wyciskają z kraju co się da!

Na wschodzie, pod Rarańczą, była wielka bitwa. Może już słyszałeś co o tem?

Nasz generał H. poszedł na Ukrainę.

Stąd wynikły dla wielu młodych różne kłopoty. Ośrodkiem też zgryzot całego społeczeństwa jest Huszt, mała miejscina na Węgrzech. Myślę, że zrozumiesz, co potrzeba, więcej pisać mi trudno.

Mówią ludzie na ucho, że wkrótce będzie lepiej, byle do lata wytrwać. Ja ciągle w domu siedzę i sama nie wiele co pewnego wiem. Pewno tęsknisz bardzo do kraju? Moje ty biedactwo! Nie nie wiem, jak ci tam jest! Posyłam ci paczkę.

Znajdziesz w niej parę polskich książek i gazety, które zbieram dla ciebie z całego miesiąca. Pozatem trochę bielizny czystej i coś słodkiego, bo wiem, że lubisz! Nie wiele tego jest, bo trudno o wszystko, ale ile mogę, tyle ci daję.

Synku, uważaj na siebie, nie narażaj się, myśl o mnie, myśl o Ojczyźnie, która cię może wkrótce potrzebować będzie! Idą bo-wiem czasy wielkie, rozstrzygające! I może na naszą Polskę lepsza przyjdzie dola? Więc też zaościć trzeba teraz nie jedno, zaciąć zęby i uczyć się wytrwania, męstwa a zwłaszcza cierpliwości, ty nar-wańcze mój najdroższy!

Nie rań mego serca dłużej! Napisz, bodaj taką kartkę urzędową, niech wiem, że żyjesz, żeś zdrow, a i za to Bogu na kolanach podziękuję!

Do piersi cię zbolalej tulę i znak krzyża na czole kreślę, dziecino moja ukochana!

Wśród gwaru życia, przygód wojennych i barwnych wrażeń, po-mysł też czasem o nad życie cię kochającej

Matce.

Fatamorgana.

Leżeli tak zbici w gromadkę i na wpół piaskiem przysypani: Jurek i dwa wielbłądy. Złączył ich strach i znużenie, wtulić się im w siebie kazał instynkt samozachowawczy:

Jeden był jego, a drugi? — Roz-poznał siodło swego małego przy-jaciela i zasępił się.

Został tam, koło oazy, sam je-den, by zasłonić ich ucieczkę. Co też z nim się dzieje? Czy żyje jeszcze. Dziwny, przywiązany to-warzysz! I równocześnie przypom-niał sobie Jurek, jak nie dobry był dla biednego „Cwała“, na krótko przed ową straszną chwilą! Uczuł wyrzuty sumienia.

Ro on go uratował, on go — pomógł! I z jaką odwagą!...

Kanadyjczyka też nie ma! Prze-wadł gdzieś tej nocy grozy i wichru.

Może go Samum zabiło? Może też gdzieś leży martwy, w nie-gościnnych piaskach pustyni? Mo-że obaj nie żyją już?

I tak pozostał sam. Sam, jeno tych dwoje zwierząt koło niego! Sam, na tych rdzawych, rozpalonych piaskach.

Wokoło, gdzie okiem sięgnąć, falista pustynia — słońce ogniem zieje oślepiającym — a niebo znów pogodne, jasne, bez jednej chmury, rozpięte od krańca po kraniec

horyzontu, wysoko, daleko niedosiężnie.

— Pić! Pić! — krew w nim wołała tętniąca.

Przeszukał kulbaki. Na dnie skórzanej butli znalazł odrobinę letniej, śmierzdzącej wody. Wypił ją, chciwie, dosiadł wielbłąda i ru-szył przed siebie, na los szczęścia!

Drugi garbaty rumak biegł za nim powolnie, jak pies.

Dzień cały wędrowali tak przez step bezludny i jałowy, a nu-żąca monotonia krajobrazu i wzmagający się upał, sączyły kropla po kropki zmęczenie, niechęć i apatię w mężne dotychczas serce chłopca.

Napróżno raz i drugi dokładnie oglądał siodła. Prócz paru daktyli — nic nie znalazł. Widocznie wszystkie ich zapasy pozo-stały na ostatnim postoju, przy źródle, zapomniane w pospiesznej ucieczce.

Śmierć, strasna śmierć z „głodu“ i pragnienia wychyliła na moment swe kościste oblicze z poza ramion z sił opadającego Jurka.

Aż nagle przed oczyma zamglonemi bielmem pustynnej go-rączki, daleko, za opalową tęczą szklanego powietrza na skraju widnokregu, zabłyśły białe i złociste wieże minaretów, płaskie da-chy, wyniosłe korony palm, drzew migdałowych, limb i cedrów, gaje zielonych kaktusów i pomarańczę.

Wszystko opłatała migotliwa w słońcu, błękitna rzeka a dzie-siątki mostów na niej, dziesiątkiem dróg zapraszały znużonego wę-drowca w chłodne wnętrza nieznanego miasta...

(Dalszy ciąg nastąpi).



Na skraju widnokregu zabłyśły wieże minaretów...

